



Adultryzm jest dziś tym, czym kiedyś był seksizm

Z doktorką Anną Golus, specjalistką w zakresie praw dziecka, rozmawia Maksymilian Wroniszewski z Wydawnictwa GUMed.

Mam wrażenie, że wiemy już dziś, zwłaszcza w społeczności uniwersyteckiej, całkiem sporo o różnych rodzajach i mechanizmach wykluczenia. Dość dobrze rozpoznajemy pułapki stereotypowego myślenia o płci, orientacji psychoseksualnej, pochodzeniu etnicznym, a coraz częściej też o statusie ekonomicznym. Myślenie o dzieciach w kategoriach wykluczenia wydaje się jednak czymś w rodzaju poznawczego skandalu. Dlaczego tak trudno nam uświadomić sobie, że dziecko też może być dyskryminowane?

Przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, że trudno nam uznać, iż dziecko jest człowiekiem. A to jest warunek, by można było pomyśleć o kimś w kontekście wykluczenia. Uznajemy, że dziecko człowiekiem dopiero się stanie, że jest człowiekiem niepełnym, a w związku z tym takie są też jego integralność i podmiotowość. Ja sama, choć od wielu lat piszę o prawach dzieci, mam świadomość, jak silnie ten sposób myślenia zakorzeniony jest w kulturze, w której wyrosliśmy, a co za tym idzie, jak silnie jest wdrukowany w nasz system poznawczy, również mój. Bardzo trudno jest się od tego uwolnić.

Niedawno sporym echem odbiła się w mediach Pani książka *Superniania kontra trzyletni Antoś*, w której opisuje Pani m.in. to, w jaki sposób, pod pozorem promowania rzekomo wartościowych metod wychowawczych, w programach telewizyjnych dochodziło do łamania praw dziecka. Pytanie, jakie nasuwa się po lekturze książki, jest proste, ale radykalne: czy telewizja jest przestrzenią, w której w ogóle powinny pojawiać się dzieci?

Nie ma łatwej odpowiedzi na to pytanie. Jestem na pewno zdecydowaną przeciwniczką programów, w których narusza się prywatność dzieci. Z tej perspektywy można by więc pomyśleć o zakazie realizacji programów *reality TV*, w tym także tzw. produkcji z misją, które rejestrowane są w domach rodzin.



Dr. Anna Golus

Trzeba pamiętać, że na planie takiej produkcji w przestrzeń domu wchodzi nie tylko inni niż domownicy uczestnicy programu, ale też operator, dźwiękowiec, reżyser i mnóstwo innych osób z ekipy. A dzieci często tego nie chcą i wyrażają swój sprzeciw na różne sposoby. Czasem werbalnie, czasem gestami, np. plując na kamerę czy zasłaniając ją ręką. Proszę zauważyć, że dorosły w takiej sytuacji może zrezygnować z udziału w programie, ale dziecko nie, ponieważ to jego rodzic decyduje o tym, co wolno, a czego nie wolno nagrywać. Polskie prawo dopuszcza wykorzystywanie wizerunku dziecka w zasadzie do wszelkich celów oprócz pornografii.

I na nic tu Konwencja o prawach dziecka.

Teoretycznie dziecko ma prawo do ochrony prywatności, które gwarantowane jest zarówno przez ratyfikowaną przez Polskę Konwencję o prawach dziecka, jak i polską Konstytucję. Ta druga gwarantuje prawo do prywatności wszystkim obywatelom, a więc i dzieciom. W praktyce jednak tak nie jest. Ciekawy jest też fakt, że Konwencja i Konstytucja zakazują stosowania kar cielesnych – według Konstytucji każdy obywatel ma przecież prawo do nietykalności – ale w praktyce dopiero w 2010 r. w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym wprowadzono bezwzględny zakaz bicia dzieci. To tak jakby zapis w Konstytucji nie wystarczył. Podobnie prawo do ochrony prywatności tylko teoretycznie obejmuje dzieci. Można zatem uznać, że zasady ujęte w Konwencji o prawach dziecka to nie standard, lecz ideał, podobnie zresztą jak ujęte w odpowiednich konwencjach, ale nieprzestrzegane zapisy dotyczące praw człowieka czy osób z niepełnosprawnościami itd.



fot. [pexels](#)

Nie chcę w żadnej mierze bronić *Superniani*, ale zastanawiam się, czy był w tym programie jakiś załazek myślenia wbrew schematom, tzn. ukazania rodzicielstwa jako czasu, który bynajmniej nie jest sielanką.

Wręcz przeciwnie. Ten program co prawda pokazał, że rodzicielstwo to nie sielanka, ale jego przekaz był taki, że trzeba zrobić wszystko, by tę sielankę osiągnąć – by dzieci były „grzeczne”, a rodzice zadowoleni. W tym sensie raczej zwiększył niż zmniejszył tę presję.

Skoro mówimy o telewizji, to muszę wspomnieć, że zawsze niepokoiły mnie rozmaite dziecięce *talent shows*. Głównie dlatego, że programy tego typu, choć widać w nich zwłaszcza radość i zabawę, to po prostu forma tresowania dzieci do życia w społeczeństwie opartym na rywalizacji.

Niestety telewizja pokazuje tylko to, co i tak wszędzie można zaobserwować. Przecież w wyścigu szczurów uczestniczymy w zasadzie od przedszkola. Ostatnio bardzo popularne są kulinarne *talent shows*, także z udziałem dzieci. To charakterystyczny przykład, bo o ile programów tego rodzaju o charakterze muzycznym czy tanecznym można próbować bronić – mówiąc np., że dzieci biorą udział w podobnych konkursach organizowanych w innych miejscach – o tyle kulinarne *talent shows* pokazują, że chodzi wyłącznie o rywalizację, która w dodatku wkracza w kolejne sfery aktywności człowieka. Gotowanie czy pieczenie ciastek, odbywające się w przestrzeni domowej i kojarzone z czymś miłym i bezpiecznym, zostają tu przeniesione w obręb kultury rywalizacji, gdzie jest więcej stresu niż radości i zabawy. Ten stres i łyż również zresztą w tych programach widać.

Podobnie popularne swego czasu programy kulinarne, w których dwie drużyny rywalizowały o względy niby to charyzmatycznego szefa kuchni, były doskonałym odzwierciedleniem kultu jednostki, hierarchii i przemocy, dobrze znanego z korporacji. Ale to dopowiadam na marginesie. Wracam tymczasem do Pani książki, którą traktuję jako świetny przykład krytycznej humanistyki. Najkrócej mówiąc, przygląda się Pani w niej sprawom uznanym za oczywiste, przezroczyste i niebudzące wątpliwości, a następnie pokazuje, że wcale takie nie są. Skąd w naszym zachowaniu i kulturze tak liczne formy zachowań dyskryminujących dzieci, których nawet nie dostrzegamy?

Z wielowiekowej tradycji gnojenia słabszych – wszystkich, którzy są niżej w hierarchii. Dotyczy to nie tylko dzieci, ale to



Anna Golus, *Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja uczy wychowywać dzieci*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022.

właśnie dzieci są na samym dole. Niżej są tylko zwierzęta, i to też nie zawsze. Ta tradycja i kultura przemocy opiera się na dwóch filarach: patriarchacie i religii. Nadal wiele osób uważa, że rodziców należy „czcić” bezwarunkowo, bez względu na to, co zrobili, a nawet dosłownie odbiera starotestamentowe zalecenia, by karcić dzieci różgą. W XXI w. wciąż wydawane są poradniki, jak bić dzieci w imię Boga.

Nie chciałbym powiedzieć, że z kwestią fizycznej przemocy wobec dzieci już sobie poradziliśmy, jednak sprawa przemocy psychicznej jest jeszcze bardziej niewidoczna i nieświadoma. I dlatego warta uwagi. Jakiś czas temu media donosiły o pomysle jednego z polityków, który postulował, by w Polsce wprowadzić zakaz spowiedzi dzieci. Uważam to za rozsądne i zasadne, zwłaszcza że wolność wyznania to kolejne z praw gwarantowanych w Konstytucji, a jednak sam nigdy wcześniej

nie pomyślałem o spowiedzi w ten sposób. Uświadomiło mi to, jak dalece nie jesteśmy wyczuleni na sytuacje, które mogą stanowić dla dzieci potencjalne źródło psychicznego dyskomfortu.

Oczywiście zgadzam się z tym, co Pan powiedział. Najlepiej byłoby, gdyby każdy wybierał religię samodzielnie. Proszę jednak zauważyć, że koncept dziedziczenia religii jest w chrześcijaństwie stosunkowo mało inwazyjny. Wyznawcy judaizmu obrzezują noworodki, które przecież czują ból, w islamie ten sam akt następuje, kiedy chłopcy mają ok. 14 lat. Musimy zdać sobie sprawę, że w XXI w. setki tysięcy chłopców jest fizycznie krzywdzonych, a ich krzywda jest znormalizowana. Jeszcze bardziej drastycznym przykładem, choć ma on podłoże kulturowe, a nie religijne, jest okaleczanie narządów płciowych kilkuletnich dziewczynek. Przerażające jest to, że kultura potrafi sprawić, że kobieta, która została w dzieciństwie poddana ekstremalnie makabrycznej i traumatyzującej operacji, robi to samo swojej córce. W tej perspektywie nie może nas dziwić, że posyłamy dzieci do spowiedzi, bagatelizujemy klapsy czy nie możemy przyjąć, że dziecko jest pełnoprawnym człowiekiem, którego zdanie się liczy.

Skala przemocy fizycznej w naszym kraju się jednak zmniejsza. Dziś nie do pomyślenia jest na przykład, by nauczyciel uderzył ucznia. W takich sytuacjach jest natychmiast zwalniany. Jednak jeszcze 25-30 lat temu w szkołach się to zdarzało. Sama to zresztą pamiętam. Co więcej, dzieci nie mówiły o tych sytuacjach rodzicom, bo najpewniej zostałyby skrzywdzone jeszcze przez nich. A przecież obowiązywała wtedy Konwencja o prawach dziecka, jednak w praktyce nikt o niej nie wiedział. Czy Pan wiedział?



Zaskoczę Panią, ale Konwencja była w latach 90. jednym z moich pierwszych doświadczeń lekturowych. Nie wiem, skąd ten druk wziął się w moim domu, ale pamiętam jego okładkę z postacią dziecka piszącego na tablicy: „Ja mam prawa, ty masz prawa, on ma prawa” itd. Oczywiście to czysty przypadek, zdaję sobie sprawę, że jestem pewnie wyjątkiem od reguły.

Najwyraźniej miał Pan szczęście. Dzisiaj dzieci – przynajmniej od pewnego wieku – mają większą szansę niż my, by dowiedzieć się o istnieniu praw dziecka. Przynajmniej niektórych praw, bo to dorośli decydują, jaką wiedzę na ten temat przekażą dzieciom. Dorośli często zresztą sami nie wiedzą, co jest prawem dziecka, a co prawem albo obowiązkiem dorosłego. Proszę spojrzeć np. na skierowaną do dzieci Kartę Praw Dziecka-Pacjenta. Jest tam np. punkt, który głosi: „Decyzja o leczeniu nie może być podejmowana bez Twojego udziału, jednak dopóki nie skończysz 16 lat podejmą ją za Ciebie rodzice lub opiekunowie – potem także Ty będziesz o tym współdecydował” (pisownia oryginalna). Ten dokument został stworzony kilka lat temu przez Rzecznika praw dziecka i Rzecznika praw pacjenta poprzednich kadencji. Obecni rzecznicy nie zauważyli, że na karcie praw dziecka informują dzieci o tym, do czego prawa nie mają – a to nie jedyny punkt tego rodzaju. Nie zauważyli też licznych błędów. Jedyne, co poprawili, to własne nazwiska i podpisy. To też pokazuje, jaki jest stosunek dorosłych do dzieci.



fol. [pexels](#)

W Pani książce uderza to, że o zachowaniach, do których zmuszane są dzieci w programach telewizyjnych, pisze Pani wprost jako o torturach, maltretowaniu czy przymusowej izolacji. Pokazuje Pani, w jaki sposób język może łagodzić interpretacje pewnych zachowań, ale też przyczynić się do wykształcenia niekorzystnej relacji między rodzicami a dzieckiem.

Tytuł *Superniania kontra trzyletni Antos* jest cytatem z tego programu. To jasno wskazuje na retorykę walki, która była w nim wykorzystywana przez cały czas. Osoba prowadząca ten program, a następnie rodzice mieli „poskromić” dziecko, wygrać z nim „walkę o władzę”. Chodziło o to, by „zwyciężyć rodzic” – to też cytat z programu. Taka retoryka sprowadza rodzicielstwo do walki o władzę i egzekwowania posłuszeństwa za pomocą wszelkich możliwych sposobów, również ewidentnie przemocowych, nigdy nie nazywanych jednak po imieniu. Nazwa najpopularniejszej „metody” stosowanej w tym programie – „karny język” (albo „karny kotek”, „karny żółwik”, bo były nie tylko języki, ale też inne miłe zwierzątka) – to eufemizm. W rzeczywistości to przymusowa izolacja, której stosowanie w tym programie nierzadko przeradzało się w maltretowanie

psychiczne zrozpaczonego i udręczonego dziecka. Podobnie „metoda” tzw. „opanowywania hysterii”, czyli ignorowanie dziecka przeżywającego trudne emocje albo wyrażającego swoje zdanie w sposób, który nie podoba się dorosłym.

Proszę zauważyć, że w przypadku osób niepełnoletnich każde wyrażenie własnego zdania, niezgodnego ze zdaniem dorosłych, może być potraktowane jako bunt. Może być nawet zmedykalizowane. W Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-10 znajduje się jednostka o nazwie „zaburzenia opozycyjno-buntownicze”. Już sama ta nazwa zakłada, że naturalnym, zdrowym stanem dziecka jest uległość. Opozycja i bunt są natomiast czymś złym, niezdrowym. Oczywiście wiem, że definicja zaburzeń opozycyjno-buntowniczych jest szersza, że nie chodzi tylko o bunt, jednak zwracam uwagę na język, bo ten kształtuje naszą świadomość i postrzeganie rzeczywistości. Nazwa „zachowania opozycyjno-buntownicze” sugeruje zaś, że bunt jest czymś, co nie powinno mieć miejsca. Tego rodzaju język tworzy dyskurs adultystyczny, potwierdza, że dziecko nie do końca jest pełnoprawnym człowiekiem, że dopiero może się nim stać.

Twierdzi Pani, że adultyzm, czyli dyskryminacja dzieci, jest dziś tak samo naturalny i znormalizowany jak kiedyś seksizm. To ciekawe zwłaszcza w kontekście wspomnianej przez Panią etykiety hysterii, a więc terminu o ściśle medycznym rodowodzie, choć dziś już raczej nieużywanego. Niegdyś cementował on seksistowski dyskurs, a obecnie odżywa w kontekście adultystycznym. Mieliśmy kobiety histeryczki, teraz mamy histeryzujące dzieci.

Tak, kobiety zajmowały kiedyś z grubsza tę samą pozycję, co dziś dzieci. Kobiecie, która chciała zmanifestować swoje zdanie, nie była cicha i potulna, przyklejano etykietkę histeryczki. Dziś jesteśmy w stanie zachwycać się dziećmi, ale tylko dopóki są miłe, ciche, słodkie i rozczulające. Jeśli takie nie są, jeśli nie sprawiają radości, są głośne i emocjonalne, to znaczy, że „histeryzują”. Według „metod wychowawczych” promowanych w programie, który opisywałam, musimy wtedy stoczyć z nimi walkę, sprawić, by stały się takie, jakie chcemy, by były.

Zdarza się niestety, że w programach telewizyjnych z udziałem dzieci występują medycy i psychologowie. Ich „eksperski głos” to najlepszy sposób na usprawiedliwienie i legitymizację tego rodzaju produkcji.

Cóż, chciałabym wierzyć, że mają oni dobre intencje i wierzą, że w ten sposób pomagają dzieciom, jednak z perspektywy dzieci, których prawa są łamane, nie ma to żadnego znaczenia. Rodzice, którzy biją swoje dzieci, też z reguły chcą dobrze



i wierzą, że bijąc, wychowują je. W ogóle większość krzywd, jakie jedni ludzie wyrządzają innym ludziom, zostaje popełniona w jakimś „dobrym celu” albo przynajmniej „niechący”. Tylko co z tego?

Co do udziału medyków w programach telewizyjnych, to pamiętam, że w programie *Wychować i nie zwariować* wystąpił dr Paweł Grzesiowski, który wypowiadał się nie tylko na tematy medyczne, ale i wychowawcze. I mówił rzeczy nie do przyjęcia. Radził na przykład, by dziewięciomiesięczne niemowlę brać na ręce w nagrodę za spokojne zachowanie, a nie – gdy „wyje” (jak określił niemowlęcy płacz). Dziś już wiadomo – i było wiadomo, gdy ten program był emitowany kilka lat temu – że zostawianie niemowlęcia, by się wyplakało, jest po prostu szkodliwe. Mózg młodego człowieka w takiej sytuacji jest zalewany przez hormony stresu, co negatywnie wpływa na jego rozwój. Poza tym dziecko po prostu cierpi. Proszę zauważyć, że cierpiącego, płaczącego dorosłego nikt nie zignoruje.

Telewizja to specyficzna przestrzeń, która z jednej strony odzwierciedla świat, w którym żyjemy, a z drugiej stanowi jakiś jego integralny wycinek. Funkcjonujemy też jednak w innych przestrzeniach kulturowych, w których dzieci narażone są na dyskryminację. Jakie zagrożenia dostrzega Pani w tym zakresie w systemie ochrony zdrowia?

Także tu dziecko często bywa jeszcze traktowane jak przedmiot. Gdy rodzic przychodzi z dzieckiem do lekarza, najczęściej bywa tak, że dwie dorosłe osoby rozmawiają o trzeciej, która siedzi obok. Tymczasem dzieci bardzo szybko uczą się mówić i mogą opowiedzieć o tym, co im dolega. Nie zawsze jednak są słuchane.

Inna sprawa to bagatelizowanie dolegliwości dziecka. Jest takie powiedzenie „Paluszek i główka to szkolna wymówka”, które dobitnie o tym świadczy. Nawet jeśli dolegliwości tego typu mają stresowy charakter i wiążą się z lękiem przed pójściem do szkoły, to przecież są realnym symptomem tego, że z dzieckiem dzieje się coś niedobrego.

Wskazałabym jeszcze na aspekt dyskryminacji systemowej. Chodzi o to, że dziecko, by mogło pójść do lekarza, musi mieć zgodę rodzica. Dziecko – czyli osoba do 18. roku życia, a więc prawie dorosły człowiek. I tenże człowiek, który chciałby pójść do psychiatry, ponieważ potrzebuje wsparcia, nie może zgłosić się do niego bez rodzica...

Często będącego sprawcą problemów, które skłaniają dziecko do konsultacji z psychiatrą.



Anna Golus, *Dzieciństwo w cieniu różgi. Historia i oblicza przemocy wobec dzieci*, Wydawnictwo Helion, Gliwice 2019.

Dokładnie. Tyle dobrego, że dzieci mogą przynajmniej zadzwonić na jeden z telefonów zaufania dla dzieci i młodzieży i uzyskać wsparcie psychologiczne. Często dzwonią po to, by powiedzieć, że rodzice nie pozwalają im na wizytę u psychologa czy psychiatry, bo wciąż pokutuje przekonanie, że „normalni” ludzie takiego wsparcia nie potrzebują.

I drugi przykład – sprawa osób w wieku 15-18 lat i ich zdrowia seksualnego. W Polsce tzw. wiek przyzwolenia wynosi 15 lat, więc zgodnie z polskim prawem osoby od 15. roku życia mogą uprawiać seks. Tymczasem, by dostać tabletki antykoncepcyjne, trzeba zgłosić się do lekarza z rodzicem, podobnie jest zresztą z wizytami u urologów, których młodzi chłopcy nie mogą odbyć samodzielnie. Świadczy to moim zdaniem o jawnej systemowej dyskryminacji osób w wieku 15-18 lat. Poza tym – to absurd.

A czy dostrzega Pani jakieś zmiany na lepsze w systemie ochrony zdrowia?

Tak. Dobrym przykładem są wieloletnie działania Fundacji *Rodzić po ludzku*, dzięki której polepszyła się jakość opieki okołoporodowej, czyli warunki, w jakiej ludzie przychodzą na świat. Inna ważna sprawa to fakt, że kiedyś rodzice nie mogli przebywać z dziećmi w szpitalach, więc hospitalizacja była dla dziecka traumatyzującym doświadczeniem niemalże z definicji, wiązała się ze strachem, opuszczeniem i brakiem poczucia bezpieczeństwa. Na szczęście te czasy mamy już za sobą. Wciąż jednak jest jeszcze dużo do zrobienia. ■

fot. na s. 50 – Paweł Klein

ANNA GOLUS

Doktorka nauk humanistycznych w dyscyplinie nauk o kulturze i religii (doktorat o udziale dzieci w programach *reality show* obroniony w 2020 r. na Uniwersytecie Gdańskim). Autorka książek *Dzieciństwo w cieniu różgi. Historia i oblicza przemocy wobec dzieci* oraz *Superniania kontra trzyletni Antoś. Jak telewizja uczy wychowywać dzieci*, stała współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego”. Inicjator kampanii *Kocham. Nie daję klapsów* i akcji *Książki nie do bicia*.